

Napisał dla „Nowego Świata” Leon KUNTE

Początek o godz. 8-ej wieczorem. — **WSTĘP WOLNY!**
Ze względu na fakt, że polityka międzynarodowa w pierwszym rzędzie kręci się dokoła Polski, referat na ten temat powinien zainteresować szersze koła Polonji w New Yorku.

TRZEJ MUSZKIETEROWIE

ALEKSANDER DUMAS. — POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVII WIEKU

(Ciąg dalszy).

Zresztą życie czterech młodych ludzi upływało wesoło: Atos grywał, lecz zawsze nieszczęśliwie. Nigdy jednak nie pozyczał ani groza od swoich przyjaciół, aczkolwiek jego własna kieska była zawsze na ich usługi. Gdy zaś zdarzyło mu się przetrącić słowo, błądził zawsze swego wierzyciela już o godzinie szóstej rano, aby mu się uiszczyć z długu, zaciągniętego dnia poprzedniego.

Portos miał chwile porywów: jeżeli wygrał, stał się zuchwałym i rozrutnym; jeżeli przegrał, znikał zupełnie na kilka dni, poczem powracał z twarzą wybladłą i z miną wzdłużoną, ale z pieniędzmi w kieszeni.

Aramis nie grywał nigdy. Był najlepszym muszkieterem i najgorszym towarzyszem zabawy, jakiego można było znaleźć pod słońcem. Zawsze miał jakies zajęcie; niekiedy, w połowie uczył, gdy każdy, podochocno winem i podnieconie rozmową, sądził, że nie wcześniej, jak za dwie lub trzy godziny wstanie od stołu, Aramis spoglądał na zegarek, powstawał z wzdychaniem usmiechem i zgnął towarzystwo, aby — jak twierdził — udać się na naradę z jakimś teologiem, z którym się umówił. Kiedyś raz znowu powracał do domu, aby pisać rozprawę naukową i prosił przyjaciół, aby mu nie przeszkadzali.

Na usłach Atosa pojawiał się wówczas wzdychanie, melancholijny uśmiech, który doskonale odpowiadał jego szlachetnej postawie; Portos zaś pociągał z kielicha i przysięgał, że Aramis nie będzie nigdy niczem więcej, jak wielkim plebeianem.

Planchet, służący D'Artagnana, zniósł swój los z poddaniem; codziennie otrzymywał trzydzieści suwów i przez cały miesiąc wracał do domu wesoły, jak czaryk i oddany zupełnie swemu panu. Kiedy jednak wiatr przeciwności powiał na ognisko domowe przy ulicy Grabarzy, czyli innymi słowy, kiedy suma czterdziestu pistoletów, otrzymanych od króla Ludwika XIII, została prawie całkiem przejedzona, Planchet rozpoczął się głośno uskarżać, co Atos uważał za nudne, Portos za nieprzystojne, a Aramis za śmieszne. Atos doradzał, aby odprawić gburę — Portos żądał, aby go poprzednio odczytać — Aramis zaś dowodził, że pan nie powinien od sługi słyszeć nic innego, prócz komplementów.

— Łatwo wam to mówić — odparł D'Artagnan — tobie, Atosie, który porozumiewasz się na migi z Grimaudem, który zabraniasz mu wogóle mówić i dlatego żadnego złego słowa z ust jego usłyszeć nie możesz — i tobie, Portosie, który prowadzisz wspaniały żywot i jesteś przez swego sługę, Mousquetona uważany za bóstwo — a wreszcie tobie, Aramisie, który, zatopiony w studiach teologicznych, wpośles w Błazina, człowieka łagodnego i pobożnego, głęboki szacunek dla siebie. Ale ja, który nie posiadam ani stanowiska, ani majątku, ja, który nie jestem ani muszkieterem, ani nawet gwardzią, coż ja mam uczynić, aby wpoić w Planchetę bądź przywiązanie, bądź obawę, bądź szacunek?

— Sprawa jest poważna — odpowiedział trzej przyjaciele: — jest to kwestia wewnętrzna. Z lokajami trzeba postępować tak samo, jak z kobietami; trzeba odrazu postawić stosunek z nimi na tej stopni, na jakiej się chce, aby pozostał. Zastanów się zatem.

D'Artagnan zastanowił się i postanowił wytrząść Planchetowi skórę na zapas, co też wykonał z sumiennością, cełując go we wszystkie. Następnie, odczytawszy go już należycie, zabronił mu opuścić służbę, bez swego zezwolenia.

— Ponieważ — rzekł — przyszłość nie może mieć zawieszki i oczekuje lepszych czasów, więc los twój zależy od tego, abyś pozostał u mnie, a jestem zanadto dobrym panem, abym cie go chciał pozabawiać, dając ci zwolnienie od służby, o jakie prosisz.

Ten sposób postępowania obudził w muszkieterach dużo szacunku dla dyplomacji D'Artagnana. Plancheta przejął on również podziwem, tak, że odjadł nie wspominając już o odcieczu.

Pozwice czterech młodych ludzi stało się wspólnym: D'Artagnan, który nie miał żadnych przyzwyczaję, ponieważ przybył z prowincji i dostał się odrazu w środowisko całkiem nowe dla siebie, przyswoił sobie przedko nawyknięcia swych przyjaciół.

Wstawano zimą około godziny ósmej,

lato około szóstej i udawano się najpierw do pana de Treville, aby wysłuchać tam rozkazów i dowiedzieć się nowinek. D'Artagnan, aczkolwiek nie był muszkieterem, pełnił służbę z wznoszącą gorliwością; był zawsze na posterunku i zawsze towarzyszył temu ze swych przyjaciół, na którego wypadła kolej. Znano go w pałacu muszkieterskim i ogólnie uważano za dobrego koleżę, — a pan de Treville, który oceniał go od pierwszego wejrzenia i okazywał mu prawdziwą serdeczność, nie przestawał polecać go królom.

Trzej muszkieterowie kochali bardzo swego młodego towarzysza. Przyjaźń, która zjednoczyła tych czterech ludzi i potrzebą spotykania się wzajemnego trudu lub czerpy raz dziennie, czyło w jakichś sprawach pojedynkowej, czy w interesie, czy dla wspólnego rozrywki, sprawiły, że chodzili jeden za drugim, jak cienie i że spotykano ich zawsze nierozłącznych, zdających się z Luksemburga na ulicę Świętego Sulpicjusza, lub z ulicy Staroego Gołębnika do Luksemburga.

Tymczasem pan de Treville nie zaniedbywał swych przyrzeczeń. I pewnego pięknego dnia król wydał polecenie panu kawalerowi des Essarts, aby przyjął D'Artagnana, jako kadeta, do swojej kompanii gwardzistów. D'Artagnan z głębokim westchnieniem przywdział mundur tej kompanii, który pragnął, choćby za cenę dziesięciu lat życia, zanieść na kaftan muszkieterski. Ale pan de Treville przybiegał mu do łaski dopiero wtedy, gdy obadwie dwulitrowe nowicjaty, który to przeciąg czasu mógł zresztą jeszcze udeścić skrośniętym, gdyby D'Artagnanowi nadarzyła się sposobność oddania jakichś usług królom, lub odznaczenia się jakimś świetnym czynem. D'Artagnan wyszedł pod wrażeniem tej obietnicy i od dnia następnego rozpoczął służbę. Odjadł przysłał koleją na Atosa, Portosa i Aramisa towarzyszenia D'Artagnanowi na posterunku, który zostało mu zlecone strażowanie. A w ten sposób kompania pana kawalera des Essarts zyskała czterech ludzi, zamiast jednego, od dnia, kiedy D'Artagnan wstąpił w jej szeregi.

VIII.

Intryga dworska

Tymczasem czterdziści pistoletów króla Ludwika XIII — zwykły los wszystkich na świecie — tak, jak miał swój początek, tak samo dobiegał się końca, a kiedy nadszedł ów koniec, nasi czterej towarzysze popadli w kłopoty. Zrazu Atos przez cesa pewien utrzymywał stowarzyszenie ze swych własnych funduszy. Portos poszedł jego śladem i dzięki jednemu z tych tajemniczych zniknięć, które nie dziwiły już nikogo, mógł jeszcze przez mniej więcej piętnaście dni żyć na wspólne potrzeby. Wreszcie przyszła kolej na Aramisa, który z całą gotowością wypełnił swój obowiązek i zdobył zdobyć nieco pistoletów, sprządaż — jak twierdził — swe książki filozoficzne.

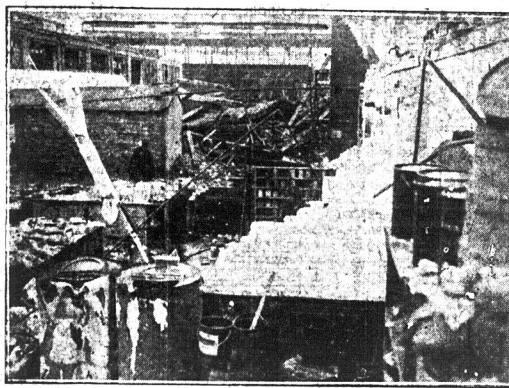
Potem udano się wedle zwyczaju u o pomoc do pana de Treville, który udzielił im nych zaliczek na rachunek zółdu. Ale zaliczek te nie mogły zbyt daleko zaprowadzić trzech muszkieterów, mających już do żo zaległych rachunków i gwardzistów, którzy nie mieli ich wcale.

Nareszcie, kiedy się okazało, że już wszystkie środki są wyczerpane, zebrano ostatnim wysiłkiem osiem czy dziesięć pistoletów, przeznaczając je na grę dla Portosa. Nieszczęśliwym Portos miał już godzinę; przegrał wszystko — co gorzej nawet, przegrał dwadzieścia pięć pistoletów na słowo.

Wówczas kłopoty zamieniły się w rozpacz; widywano ich wygłodzonych, obiegających w towarzystwie służących bulwary, czających na obiady u dalekich nawet przyjaciół, gdzie tylko można było znaleźć; albowiem, w myśl teorii Aramisa, należało w dniach szczytów się ucztami na prawo i na lewo, aby choć część ich można było zebrać w dniach nędzy.

Atos został zaproszony cztery razy i za każdym razem poprowadził z sobą przyjaciół wraz z ich służącymi; Portos znalazł sześciokrotnie sposobność i uniósł skrzyżowanie z niej także towarzyszy; Aramis osiem razy. Jak można się już było przekonać, ani o człowiekiem, który bez hałasu dokonywał bardzo wiele.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Widok wnętrza fabryki Heiza w Princeton, Ind., zniszczonej przez cyklon. Dach został zupełnie zniszczony, a ściany napół rozerwane

PRZYJĘCIE NA CZĘŚĆ POSŁA ST. ZJ.

Warszawa. — Dnia 10 marca pan prezes Rady ministrów i p. Władysław Grabski wydali obiad na część posła Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, p. Pearsona oraz wybitniejszych przedstawicieli kolonii amerykańskiej w Warszawie z udziałem członków klubu marszałków i wice-marszałków oraz prezesów komisji i klubów Sejmu i Senatu i wyższych urzędników.

W czasie obiadu p. prezes Rady ministrów wygłosił następujące przemówienie:

„Wielką i szczerą jest to dla mnie przyjemnością powitać na dziesięćmych przyjęciu ministra Stanów Zjednoczonych w Polsce, pana Pearsona i jego znakomitych rodaków.

Dawne są w Polsce uczucia przyjaźni dla Ameryki i jej synów, ale niedawno dana nam jest możliwość gościnnego przyjmowania ich w naszym wolnym kraju.

Barzdo jeszcze szczerzywi widząc, że uczucia wzajemnego zrozumienia pomiędzy naszymi krajami i ludźmi, stają się w każdym dniu silniejsze.

Jest to najlepszym dowodem, że nasze dążenia do pokojowego rozwoju są nadejście zrozumiane przez wielki naród z półkuli Oceanu.

Szczególnie radzi jesteśmy z tego, że nigdzie lepiej, niż w Ameryce nie umiano obecnie tego, że współczesna Polska stała się dla celów dokonania poważnego zadania na polu ekonomicznym i finansowym odbudowy i rozwoju. Na tem polu pracy, które przez długi czas było niedostępne dla naszej inicjatywy i na którym dopiero niedawno zaczęliśmy pracować samodzielnie, są Stany Zjednoczone wzorem i wspaniałym przykładem dla nas i dla całego świata.

Są one żywym dowodem tego, że naród, który zdobywa się go spodzierać i finansować, jest powołany do odgrywania roli decydującej o znaczeniu międzynarodowym. A rola taka tem się różni od roli każdego kraju, który ryby chciał opierać się nie na swych siłach, ale na siłach, że zma-

nia ponad wszelką miarę prestiżu moralny, nie krzywdzi, — lecz raczej wspomaga inne kraje i pracuje na pokój całej ludzkości.

Wnoszę mój kielich za dobro byt i pomyślność Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i pić zdrowie ministra Stanów Zjednoczonych w Polsce.

W odpowiedzi na przemówienie p. prezesa Rady ministrów zabrał głos poseł Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i powiedział, co następuje:

„W odpowiedzi na serdeczne pozdrowienia i życzenia słowa uznania, wyrażone dla mego kraju przez Jego Ekscelencję preza za ministrów, pozwalam sobie zwrócić w imieniu Stanów Zjednoczonych i zebranych tutaj współobywateli moich szczerze podziękowanie. Za prawdziwą przyjemnością przypomnę tu, że uczucia przyjaźni łączące nasze kraje istnieją szczególnie nie od dzisiaj, lecz wrosły w historię i w literaturę amerykańską już przed 100 laty. Czas, który dziel nas od chwili zawierzenia się tej przyjaźni sprawił, iż wzyły jej zostały wzmożone i zyskały na serdeczności i żywotności. Szczęśliwi jesteśmy, że mogliśmy przyjąć z pomocą Polsce w jej zmaganiach się w dziedzinie gospodarczej i finansowej odbudowy. Uczucie towarzyszące będzie i w przyszłości, gdyby o nasza się potrzeba wyświadczenia Polsce jakiegokolwiek wielkiej jeszcze przysług, mogącej zaspokoić jej pragnienia i potrzeby. Z uczuciem prawdziwego zadowolenia widzimy Polskę znowu w szeregu wielkich narodów świata. Dzieła tego dokonała Polska w krótkim okresie czasu i w obliczu wielkiej trudności, które gdyby choźdo o naród mniej żywoty, mogłyby się okazać nie do przezwyciężenia. Naród, który w tak krótkim czasie tyle dokonał, który wykazał zdolność do twórczej pracy w budowie podwalin swej wielkości jest po wołany do odgrywania poważnej roli w dziejach świata. Charakter przyjaźni, łączącej Polskę i Stany Zjednoczone musi budzić w nas uczucia wielkiego zadowolenia. Niech więc trwa ona wiecznie. Wnoszę kielich za Polskę i odrodzone. Niech żyje w szczęściu i dobrobycie.”

W czasie obiadu przygrywała orkiestra policyjną państwową pod batutą p. Sielickiego. Po obiedzie odbył się raut z udziałem sfer dyplomatycznych, parlamentarnych i rządowych, oraz wybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa. Raut uświetnił swoją obecnością p. Prezydent Rzeczypospolitej.

Raut był urozmaicony częścią koncertową, na którą złożyły się przedświecne śpiewy artystów opery warszawskiej, prof. Aleksandra Michałowskiego, tudzież artystyczna gra na skrzypcach p. Michała Wilkomirskiego, — śpiew artystki opery warszawskiej p. Wandy Wermińskiej, — śpiew artysty opery warszawskiej p. Sowińskiego. Akompaniowały w czasie koncertu p. Zaleska i p. Wilkomirski.



Pani Dora Gage (poniżej) 52, o skrytka na lotu śmierci i Turera (poniżej) 25, o stronie je w celu otrzymania wypłaty polity opiewającej na sto tysięcy

MIEDZYNARODOWKA MŁODZIEŻY KOMUNISTYCZNEJ

Fantastyczne cyjry

W połowie bieżącego miesiąca odbyło się posiedzenie komitetu wykonawczego Międzynarodówki Młodzieży Komunistycznej, na którym znano sprawę z działalności międzynarodowej na terenie państw bałtyckich.

Ze sprawozdania tego wynika, że wśród młodzieży komunistycznej w Polsce zwyciężył kierunek skrajny, na którego czele w K. P. R. P. stoi Leński (Leszczyński).

Jedną z uchwał, przeprowadzonych przez grupę skrajną, jest zakaz porozumiewania się młodzieży kom. ze stronnictwami robotniczymi do chwili zorganizowania „Jacek” w najważniejszych ośrodkach przemysłowych, a więc: w Warszawie, w Łodzi i okolicy (Pabianice, Zgierz, Tomaszów i in.) oraz w Zagłębiu Dąbrowskim.

Według referatu, wygłoszonego w Mińsku, Jacekcy tylko w Polsce ma już być 210; 40 fabrycznych, 70-wielkich i 100 w związkach zawodowych. Organizacja młodzieży „Komunistycznej” w okolicach Warszawy już przysięgła, że w Polce następuje „czasypania”, „Der Chawer” („Towarzysz”).

W zarządzie żydowskim i w języku polskim, „Młody komunistyczny”, kwartalnik „Międzynarodówka Młodzieży” oraz specjalny biuletyn dla członków organizacji ścisłej.

Pozatem utworzono specjalne kółka agitacyjne dla bardziej czynnych członków.

W myśli uchwały, komitetu wykonawczego, po zorganizowaniu „Jacek” w ośrodkach przemysłowych organizacja ma przystąpić dopiero do intensywniejszej pracy w Małopolsce, Wschodniej i na Białorusi Zachodniej.

Oczywiście, danych antypaństwowej organizacji nielegalnej sprawdzić nie można. Sądząc

jednak z cyfr sprawozdania, węg których do

Adam
Krechowiecki

OTRON

Powieść
Historyczna

(Ciąg dalszy).

I chwyciwszy kartkę pozostawioną przez posła, chciał ją podrzeć.

Ale Marja Kazimiera podbiegła i wywała mu ją z ręki.

— Nie! — krzyknęła — nie dozwolę, abys niweczył dobrze rozpoczęte dzieło... Nie ustąpię ani na krok i będzie tak, jak ja chcę... albo...

Helman wielkimi krokami chodził po komnacie. Gniew w nim stygł rychło, a o-garniał żal, iż w uniesieniu dotknął boleś-nie ubóstwaną niewiastę.

— Albo co? — powtórzył prawie nie-smiało, gdy małżonka na tem słowie urwała. Ona zaś usiadłszy znowu, twarz ukryła w dłonie. Pierś jej podnosiła się westchnieniem, jakby tłumionem łkaniem.

— Co za ohyda! co za ohyda! — po-ytarzała z rozpaczą... — Na tom reszta, iż-by mnie wobec posła... ach! ach! ach!

Poczęła łkać nerwowo.

Sobieski zbliżył się ku niej.

— Marysińko moja!... — ozwał się gło-sem miękkiem — najśłodszą duszy pociecho!

Ona gwałtownie odjęła ręce od twarzy i mierząc go nienawistnie pełnem spojrze-niem, które z poza łez pałało ogniem, o-zwała się szczerzym, urwanym głosem:

— Znajdę sposób pomsty!... znajdę!...

On usiadł przy niej i usiłował objąć ramieniem. Ale Marja Kazimiera odpychała go, zaciskając zęby.

— Nie! nie! — szeptała — nie zbliżaj się do mnie! usisków twoich nie znoszę... obmierzły mi... cuchniesz obozem, a zachowujesz się jak zółdak...

Sobieski zaś powtarzał:

— Moja sliżna, umiłowana Marysieńko!... nie gniewaj się na swego wiernego Celadona... racz mi odpuścić najwładzie-cielą do dobrodziejstwa cięgo!...

Ona zaś nagle zaczęła bardzo płakać.

— O ja nieszczęśliwa! — jęczała.

Sobieski osunął się do jej stóp.

— Nie płacz, panu serca mego! — po-wtarzał, składając ręce — bo mi każda te-ska twoja duszę pali... Nie zniosę twego smutku... raczże uczynię wszystko!...

Z poza łez oczy Marji Kazimierzy błysnęły. Odwręcała jednak, szlochając:

— Niczego już nie żądam... Ale nie zostanę tu ani momentu... wyjdę!...

Na tę groźbę prawdziwa rozpacz ogar-niła helmana. Począł całować ręce i nogi małżonki. Powstałszy, przemocą ujął ją za-głowie i ustami ścierał łzy z jej policzków.

— O, nie mów tak! — błagał — cóż-byś ja bez ciebie uczynił? umarbyś!...

Jedyna, ukochana pan! moja!... rozkaż, uczy-nię wszystko!...

Usiadł przy niej, a ona w ciągłem szlo-chaniu, jakby zmierzona płaczem i smut-kiem, nie opierała się już usiskom, ale powtarzała ciągle przez łzy:

— Wyjdę!

On zaś pocałunkami zamykał jej usta, aby nie wypowiadały tak srogiego wyroku.

A wieczorem dnia tego hr. de Chava-gnac miał znowu u siebie ową kartkę z pro-pozycją pana Sobieskiego...

W przeddzień elekcji stolica gwar-niła przedstawiała widok, tak rójno i gwar-no było na ulicach i we wszystkich gospo-dach. Stronnicwa obliczali ciągle swoje siły w momencie ostatnim i ostatnie czyniły kombinacje. Po wyłączeniu Kondeu-sa stronnicwo francuskie stanowiąc roz-pało się. Teraz zdawała się najsilniejszą partją księcia łolaryńskiego, ku któremu przyknęli Pacowie. Dymitr Wiśniowiecki helman polny koronny, Sobiescy. Przy-najmniej tak się zdawało na pozór; w rze-czywistości jednak szczerze myśli tam nie było, zarówno jak i w stronnicwie ks. Neu-burga, które, widząc zagrożony jego wy-bór, zachowywało się wobec Łolaryńskie-go księcia niby neutralnie, a tymczasem przemysliwało nad sposobami udaremnie-nia elekcji.

I naraz wszystkie stronnicwa w od-miennych i sprzecznych celach wpadły na myśl jedną, tak jak tonały wrogowie go-towi są chwycić się jednej deski ratunku.

W gospodzie Thamsona, kędy na ostat-niej naradzie byli oprócz Brandta: Jan Le-szczyński, Grzymułtowski i Bogusław Ra-dziwiłł, postanowiono nie sprzedawać się, choćby w miły podkanclerzego Ciszowskie-go zaproponował kto wybór Piasta. Zwa-szcza kanclerz Leszczyński twierdził, że to byłby jedyny sposób zerwania elekcji, gdyż Korona z Litwą na jednego kandydata nie zgodzą się nigdy.

— Polem — mówił — będzie czas, a o to teraz idzie, przygotowania drogi dla naszego kandydata. Zechć Piasta, będą mieli Piasta... jakiego my wskazemy.

— A to mówiąc skłonił się przed Bogu-sławem. Lecz ten odpowiedział bładym uśmiechem i ręką skinął.

— Nie dla mnie — rzekł półgłosem — niema już nie dla mnie...

Była ogromna tragiczność w tym smutku i przynębnieniu niedgys tak w sobie zaufanego i zachwałego księcia. Zdawało się, że on w przyszłości teraz mówi i czyni, jakby woli nie miał, jak senny.

U pani Sobieskiej było dnia tego także zgromadzenie wielkie, na które przybyli i prymas i podkanclerzy Olszowski, a nawet Pacowie. Tu postanowiono sprzyjać Łolaryńskiemu, lecz pani Sobieska, która na propozycję swoje dotąd stanowczy odpowie-dzi od hr. Chavagnaca nie otrzymała, obmyśliła inny plan, wedle którego woje-woda ruski Jabłonowski miał zaproponować w ostatniej chwili wybór Piasta, aby przewlec elekcję i zyskać w czasie.

Już się tedy odbyły wspaniałe wjazdy posłów zagranicznych i rozpoczęło w se-nacie obrady, oraz słuchano owych posłów, z których każdy swego pana zalecał. Ale odrazu widzieć można było, iż słuchano bez przekonania, ku żadnemu się nie przychy-lając.

Tymczasem wśród szlachty wrzało. Niezmierzana jej liczba, przewyższająca osin-dziesiąt tysięcy, pogarnęła się na Wole: Ko-rona zbliża kupą, wiralim, Litwa i Prusy wy-słały deputatów.

I odrazu wadzi się poczęło. Zaczęły bowiem, nie wiedzieć przez kogo puszca-nie, obiegać wieści, że panowie chcieliby przewlec lub nawet zerwać elekcyjne o-brady. A na to wśród wielkopolskiej i małopolskiej szlachty zerwał się zgłęb.

— Do tego — wołano — nie dopuścim nigdy!

Wśród litewskiej szlachty krzątał się teraz pilnie Łyszczynski Kazimierz, który ze Śląska powróciwszy, przejął się szczerze sprawą księcia Karola, a wobec rozbicia in-nych stronnicw, upatrzył pewność jego wyboru, za zgodą kanclerza Paca a namo-wy Chavagnaca, za tym dzielnym księciem przemawiał gorąco.

— On — wołał — przyrzeka wypłacić cały dotąd wojsku, przez lat dziesięć dawać po pięćset do stu tysięcy złotych dla uprzą-tnienia fałszywej monety, utrzymać swoim kosztem czterech tysięcy żołnierzy, zażo-wać w Łolaryngi szkołę dla stu młodych Pola-ków...

— A waćpanu ile dał? — ktoś krzyk-nął z tłumu.

I naraz wdarł się przed Łyszczynskie-go Brzóska.

Od owej rozmowy z księciem Bogusła-wem, stolnik szukał go nieustannie, ale go odnalazł nie mógł, gdyż Kazimierz na Ślą-sku bawił. Teraz zaś stał naprzeciw niego, mierzając go nienawistnym wzrokiem.

— Za ile kupił waćpana? — powtórzył.

Kazimierz cofnął się nieco i nie odpowiadając, ryknął tylko z wściekłego gnie-wu, a dobywszy szabli, rzucił się ku stol-nikowi. Byłby Brzóska padł wówczas na miejsce. Ale w tymże samym momencie poczęli ich i rozdzielono. Cały tłum po-czął się z wrzaskiem tłoczyć ku elekcyjne-mu polu, kędy w szopie senatorowie radzili.

Było to dnia 17 czerwca.

Słofe paliło, a wśród szeregów szla-chty, stojącej od rana w tym skwarze przed okopami, rozginali się umysły. Mówiono, że senatorowie nie chcą dzisiaj do elekcji dopuścić, na przekór żądaniu szlachty, iż-by ten dzień był stanowiącym. W tej chwili, gdy Łyszczynski rzucił się ku Brzósce, ktoś krzyknął:

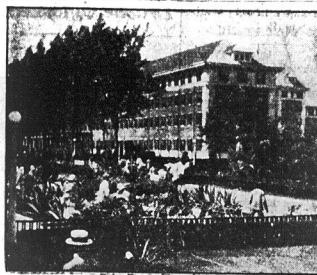
— Zdrada!... Senatorowie uchwalają przewlec elekcję! Idźmy na nich.

Hasło przyjęło się tak, jak iskra w proch rzucona. Wrzeszczano: „zdrada!” i jeden przez drugiego leciał na pole elekcyjne, ku senatorskiej szopie.

Pociągnięto i Kazimierza, który pcha-ny, szedł w pierwszym rzędzie z wydobytą szablą.

Włócono się z wrzaskiem na pole ele-kcyjne. A tymczasem w szopie powstało także zamieszanie, „ano już bowiem znać, iż szlachta zwarta kupą, a zbrojnie dąży przeciw senatorowi. Poczęło umykać z szopy. Ale szlachta zatamowała wejście i groziła rusznicami.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Hotel Breakers w Palm Beach, Fla., jeden z najwspanialszych hoteli w Ameryce spłonął doszczętnie. Straty obliczają na jeden milion dolarów

"MIŁOŚĆ" 70-LETNIEJ STARUSZKI

Skończyła się śmiercią

W niewielkiej włoskiej miej-szeczności Bormida, mieszkała u swej własnej wili wdowa Car-lotta Michetti. Była to kobieta, blisko 70-letnia, bardzo bogata, ale szalenie skąpa. W przepie-knej swej wili mieszkała zupeł-nie sama, nie chcąc opłacać służby, a do pilnowania dużego ogrodu oraz inwentarza domo-wego zgodziła żołnierza inwalidę.

Najbliższymi sąsiadami star-Ły Michetti było małżeństwo Zu-nino, którzy, nienawidząc się wz-a-jemnie, ciągle kłócili się ze sobą. Bernardo Zunino, człowiek gwał-towny i maltretujący swą żonę, nie cieszył się dobrą opinią w o-kolicy.

Pewnego dnia w styczniu, służ-ący - inwalida nie mógł się ra-no dostukać do mieszkania swej chlebowładczyni-wdowy Michet-ti. W obawie, że przytrafiło się jej jakie nieszczęście, silnem u-dzieleniem wyraził dążeń. Mie-szkankie było zupełnie puste.

Pobiegł więc do publicznego posterunku karabinierów i spro-wadził ich do wili.

Przeszukano cały dom. Nie znaleziono wprawdzie, odnalazł Car-lottę Michetti, ale też i nie znaleziono żadnych śladów e-wentualnej zbrodni. Przeszuka-no ogrodnika. Dowiódł on swego alibi, pozostawiono go więc na wolnej stopie, a mieszka-nie opuszczano.

Syndyk Bormidy, Vincenzo Vassallo na skutek czego uporczywie szeregach się pogło-sek, nakazał raz jeszcze prze-szukać mieszkanie zaginionej Michetti. Policja otworzyła wilę i w obecności starego służki rozpoczęło ponowne poszukiwa-nia. Okazało się że srebra i biele-lizna zginęły.

Wobec ujawnienia się kradzie-ży, policja postanowiła zrewi-dować dom sąsiada Zunino, od-dzielnego już czasu nieobecne-go w Bormido. Gdy Zuno Zu-nino spostrzegła karabinierów, wkraczających do jej mieszka-nia zbliżda śmiertelnie. Zmieszanie jej nie uszło uwagi po-liejantów.

Po długich poszukiwaniach znaleźli oni pod szafą niektóre rzeczy z wili Michetti — zaś w-stajni pod ścianą leżał fartuch i szal, który jak twierdził świad-

kuje wdowa miała na sobie w dniu morderstwa.

Na skutek tego odkrycia po-licja aresztowała Marię Zunino, a za jej mężem wysłano listy gołdce. Nim jeszcze policji u-dało się odnaleźć Zunina, żona jego już złożyła wyzeczupkę zeznania. Mąż jej 47-letni Ber-nardo, utrzymywał od kilku lat stosunek miłosny ze starą Mi-chetti. Stale wydawał od niej znaczne sumy pieniężne. Stara ubóstwała go poprostu i nie-żego mu nie odmawiała. Ostatnio Zunino przyniósł bardzo piękną butelkę i pokazując ją żonie rzekł: „Zobacz jakie piękne. Ach, gdyby już raz zjechał, o-żeniłby się z Michetti. Babę później zamordowałbym i był-był bogatym panem”.

Maria bała się męża, który ją był nie miłosiernie, cierpiała więc i milczała. Zunino co wieczór chodził do swej „ukochanej”; otrzymywane od wdowy pieni-dze przekazywał w karty.

Pewnego dnia Zunino prze-grzał w karczmie dużą sumę pie-niędzy. Zgubiłszy ją, zaczął się zapla-cić ją na drugi dzień i poszedł po pieniądze do Michetti. Co zasło między nimi. Maria nie wie. Wie tylko że mająć wpa-łu do domu całej zakrawały. Ka-zał żonie stać z łóżka i iść za sobą do ogrodu Michetti. Tam leżał trup starej, strasznie po-kałeczonej. Na ten widok Maria chciała uciekać. Zunino jednak pobił ją do krwi, kazał jej świecić sobie latarką. Odwrócił on sekierą głowę trupa, póź-niej nogi, a w końcu przeczał trupa na dwie części. Potem oboje wykopali głęboki dół i wrzucili tam poćwiartowane szczątki. Zunino do 5 rano za-cierał wszelkie ślady, a nastę-pnie znikł z Bormidy.

W parę dni po zeznaniu Marii Zunino został odnaleziony przez policję we Francji i oddawiony do więzienia. Morderca prze-czyli wszystkim, ale skonfronto-wany z żoną przyniósł do po-pochylenia zbrodni.

Proces odbył się w tych dniach w Savonie. Bernardo Zunino skazany został na 30 lat ciężkiego więzienia, żonę, któ-rą się poważnie rozchorowała w więzieniu zwolniono i oddawio-no do miejscowego szpitala.

Wille staro Michetti podora-wał spadkobiercy miastu Bor-mida na szkołę ludową.

KARNAWAL SYCYLIJSKI

Historia, w której brak było tylko... operatora

